

Tworzymy nowego widza – konsumenta

17 lutego 2023

Tylko tyle i aż tyle! Tacy gracze jak Netflix czy Amazon nie wydają setek milionów dolarów lekką ręką dla sadomasochistycznej przyjemności patrzenia jak ich inwestycje biczowane są przez krytykę fanów i nie tylko.

Seriale dostały rekordowo niskie noty od krytyków, którzy zwykle są bardziej wyrozumiali niż fani. Wystarczy zerknąć na osiągi w jednym z najbardziej opiniotwórczych serwisów Rotten Tomatoes, gdzie „Rings Of Power” i „Blood Origin” dostały historycznie niskie oceny od krytyków i fanów! Dlaczego zatem platformy mają zamiar przynajmniej jeszcze jakiś czas kontynuować tę pozorną farsę?

Jest to moim zdaniem inwestycja na przyszłość. Inwestycja w nowego, młodego widza – konsumenta, który dorastać ma z takim właśnie fantasy – bezmyślnym, powierzchownym, infantylnym, niespójnym oraz co najważniejsze pełnym dywersyfikacji nowych trendów ideologicznych. Nota bene i HBO, w 2020 roku trafił się taki potworek czyli serial „Straż” bazujący na prozie genialnego, zmarłego niestety kilka lat temu pisarza Terrego Pratchett’a.

Mój Boże... Jak ja na to czekałem i jak bardzo pierwszy odcinek mnie rozczarował. Świat Dysku to uniwersum składające się z kilkudziesięciu, doskonałych tomów, teoretycznie nadający się do współczesnych realizacji. Przecież sam autor nigdy nie ukrywał, że za pomocą wymyślonego przez siebie świata – dysku osadzonym na czterech słoniach, które stoją na wielkim żółwiu lecącym przez wszechświat – chce przedstawić problematykę nam współczesną! Robi to fantastycznie z wyjątkowym poczuciem humoru zahaczającym o klimaty „absurdu” żywcem z „Latającego Cyrku Monty Pythona”. I tu można by naprawdę pokusić się o

dywersyfikację rozmaitych „problemów pierwszego świata”, ale należałoby przy tym oddać głębię intelektualną, ale żeby to zrobić trzeba zrozumieć specyfikę humoru Pratchett’a. Jak się Państwo domyślacie twórcy zadbali o dywersyfikację, ale kompletnie zawalili część intelektualną.

I tak jest niemal za każdym razem obecnie. Tu już nawet nie chodzi o to, żeby się fanatycznie trzymać książek i nie wprowadzać jakichś zmian pod tzw. „publiczkę”. Chodzi o to, by zabiegi te były osadzone w historii, zrobione inteligentnie i nie wywracały fabuły do góry nogami. Przecież nawet we „Władcy Pierścieni” Petera Jacksona to zrobiono – jednym z takich zabiegów było „wzmocnienie fabularne” postaci Arweny w którą rewelacyjnie wcieliła się Liv Tyler.

Można? Można! Tylko, że Peter Jackson ze swoją ekipą tworzyli trylogię ok. 10 lat dokładnie analizując wszystkie za i przeciw. Za każdym razem, kiedy dokonywali jakiejś zmiany wobec książki (choćby z powodu ograniczonego czasu filmu) to mając do wyboru dokonanie dywersyfikacji ot tak, albo zrobienie tego w zgodzie z dobrą historią wybierali drugą, trudniejszą drogę. Tymczasem w omawianych przeze mnie produkcjach twórcy zawsze zdywersyfikują od tak, z czapy (byleby odhaczyć kolejne punkciki) i zawsze robią to kosztem historii. Rezultatem tego otrzymujemy właśnie tę nową fantastykę, której nie podobna zrozumieć i zagłębić się w nią, bez względu na to, czy się czytało, czy też nie.

Ta fantastyka nie ma już być osadzona w „starym”, nie ma opowiadać historii i być nośnikiem wartości, a przynajmniej nie takich, do jakich przyzwyczaił nas gatunek. Obecna fantastyka ma być w istocie odzwierciedleniem współczesnego świata i tylko aktualnych problemów. Ma w niej odnaleźć siebie każdy, przeciętny mieszkaniec Warszawy, Nowego Jorku, Londynu, Sztokholmu, Moskwy czy Berlina. Ma być kolorowo, różnorodnie, inkluzywnie i „tolerancyjnie”.

Przy okazji mają to być produkcje kompletnie niezobowiązujące

intelektualnie. „Wiedźmina” oglądałem razem z żoną – Ona z ciekawości, nie będąc miłośniczką ani Sapkowskiego, ani fantastyki w ogóle. Ja jako absolutny nerd, zakochany w „Sapkosiu” i fantastyce od końcówki szkoły podstawowej. Oboje się w tym gubiliśmy i w równym stopniu nie wiedzieliśmy o co tak naprawdę chodzi? Ja starałem się pozbierać w głowie strzępki wydarzeń i przypomnieć sobie, gdzie do licha miały miejsce w książce, a moja ukochana zwyczajnie gubiła się w kolejnych cięciach i „teleportacjach” bohaterów w czasie i przestrzeni.

Podczas pisania drugiej części tekstu udało mi się nadrobić 2 odcinki „Blood Origin”. Twórcy tegoż są mistrzami „teleportacji” odbywających się zawsze na piechotę – naprawdę bohaterowie pokonują w trakcie jednego odcinka kolosalne odległości w kompletnym oderwaniu od osi czasu! Do tego dokonali czegoś niebywałego w scenariuszu – jest on równocześnie prostacki, pełen przekleństw, idiotyczny, infantylny i jednocześnie ciężko go zrozumieć (choćby przez to, że za każdym razem, gdy dochodzi do jakiejś zawiłości wyjaśniana jest ona jakimś frazesem typu „to przeznaczenie” lub „bogowie to sprawili”). No i chyba tak gatunek ma dziś wyglądać...

To nie ma być fantasy dla fanów książek wymagających zgodności ze źródłem. To nawet nie mają być widowiska dla ludzi oczekujących przyzwoitej, w miarę inteligentnej rozrywki. Po obejrzeniu zwiastunów produkcji starałem się też podejść do nich jak do widowiska fantasy, udając sam przed sobą, że to nie miały być adaptacje najbardziej znanych obecnie dzieł gatunku. Mimo, że tak w istocie jest. Jeśli w jakimkolwiek zakątku świata zapytacie Państwo przypadkowej osoby o znane dzieła fantasy to w pierwszej kolejności padną „Władca Pierścieni”, „Wiedźmin” i „Gra o tron”. To jest naprawdę największy kaliber, ale w porządku – postarałem się ocenić to jako widowisko, gdzie będą piękne efekty, fajna historia, widoczki, walki, potwory, elfy, orki i czarodzieje. Ot –

zaspokojenie mojego wewnętrznego chłopca. Nie da się. To jest tak okropnie głupie, że się nie da! „Blood Origin” jest jakimś ponurym żartem. „Hercules” i „Xena” – seriale klasy B z przełomu lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych to przy tym wysublimowane działa! Nowa propozycja Netflix to już praktycznie poziom „Power Rangers”.

Tu potrzebny jest właśnie widz-konsument, który przyjmuje wszystko, jak leci na zasadzie klipu – zmieniających się obrazków i gadających głów. – teraz sobie jadą konno, później walczą, tu coś wybuchnie, ojej jaki potwór, walczą w zamku, kolorowe płomyczki, fajne miecze i stroje – wszystko ma się zgadzać. Jeśli jest różnorodność rasowa, wątki lgbtqxyz i SILNE KOBIETY, od których wszystko zależy to oglądamy.

Kiedy już ci widzowie dorosną z takimi produkcjami i wbije się im do głów, że to właśnie jest fantastyka to po co komu będą miłośnicy gatunku? „Mamy teraz swoich, wychowaliśmy sobie i udało się nam zrobić to, co z innymi gatunkami filmowymi.” Ot, cały interes!

Swoją drogą ciekaw jestem, co na to tropiciele wszechobecnego, kulturowego marksizmu? To, co wyczynia się ze sztuką filmową na platformach steramingowych w przytłaczającej większości jest przecież ZWESTERNIZOWANIEM kultury. Wszystkie te wątki ideologiczne – cancel culture, dywersyfikacja wszystkiego, tłumaczenie, że w filmie każdy musi odnaleźć siebie, inkluzywność, „golizna, ruja i porubstwo” płyną obecnie z zachodu! Zaś tłumaczenie, że to tak naprawdę marksizm, bo przecież „była już kiedyś Alkesandra Kołłontaj” itp. jest żenujące. Akurat ten rodzaj wspakultury idzie dokładnie z zachodu i tam ma swoje źródło.

Nie zmieni tego żadne zaklinanie rzeczywistości przez „psychoprawicę”, która wszędzie doszukuje się kulturowego marksizmu, ale to tylko taka mała, polityczna złośliwość z mojej strony. Przepraszam i już wracam do tematu, zmierzając powoli do kropki.

Jak już wyżej napisałem, oprócz „wychowania sobie” nowego widza-konsumenta giganci przemysłu filmowego mają zamiar pozbyć się z głównego nurtu nas – fanów gatunku, który jako jeden z ostatnich w popkulturze był pewnym bastionem normalności. Utrzymywał się długo bo przecież dopóki nie ogromny sukces finansowy kultowych produkcji nikt nie zwracał uwagi na nerdów zaczytujących się o smokach i grających w gry.

Dwadzieścia lat temu, nagle staliśmy się (chcąc tego czy nie) fanami gatunku, który zaczął podbijać świat i z hukiem wszedł do komercyjnej ekstraklasy. To nas bardzo cieszyło, bo umówmy się – któż z nas czytając Tolkienu czy Sapkowskiego nie marzył po cichu, jak byłoby wspaniale, gdyby te dzieła doczekały się ekranizacji z rozmachem hollywoodzkim? Tu mowa oczywiście o moim i starszym pokoleniu czytelników. Nieco młodsze, wychowane już na książkach i filmach Jacksona po prostu ukształtowało swój gust na czymś ze wszech miar dobrym. Fanów gatunku przybyło, ale okazali się oni też zbędnym, wymagającym i marudnym balastem, a tu są pieniądze do zarobienia.

Współcześni twórcy filmowej fantastyki mówią do nas: „Słuchajcie kochane nerdy. Wiemy, że to dzięki Wam gatunek zaczął przynosić ogromne dochody w branży filmowej i jesteście super. Teraz jednak świat się zmienił i żeby zarabiać jeszcze większe pieniądze musimy to fantasy ponaginać i dopasować do obecnej matrycy. Wiemy, że czytacie te swoje książki i znacie ich treść, ale to, co dziś robimy nie jest dla Was. Idźcie sobie pięćsetny raz obejrzeć Jacksona czy poczytać te Wasze książki, a nam dajcie zarabiać. Przecież i tak zaraz umrzecie, a za Wami idzie nowe pokolenie konsumentów.”

Jest po kupiecku? No jest! Mamy jednak i światełko w tunelu, ponieważ okazuje się, że twórcy platform nieco przesadzili. Biorąc się za tak kultowe dzieła być może nie do końca wiedzieli jak ogromny to fandom? Sam byłem zaskoczony, kiedy pod głównym zwiastunem „Rings Of Power” na YouTube zaczęły się pojawiać setki tysięcy krytycznych komentarzy, których nawet przy wpływach i budżecie Bezosa nie nadążali usuwać. Wygląda

na to, że sami twórcy nie spodziewali się takiego oporu materii. Liczyli na szybką kasację niewygodnej grupy entuzjastów gatunku i zastąpienie jej „świeżą krwią”, a tu taka afera – ajajajajaj...

Są nawet jakieś przecieki o tym, że być może Amazon zaniecha produkcji w jej obecnym kształcie, zmieni ekipę i podejdzie do tematu raz jeszcze. Netflix z kolei, jako platforma słynie z „wygaszania” serii, które nie przynoszą spodziewanych wpływów. W takim razie nam – widzom i miłośnikom gatunku pozostaje wyrażać swoje opinie publicznie, co też czynię na łamach Myśli Polskiej oraz dawać wyraz niezadowolenia pilotem – nie oglądając tych produkcji. Jak widać nie pozostaje to bez echa, a czy ostatecznie uda nam się coś zmienić? Czas pokaże.

Póki co sobie i Państwu (jeśli też lubicie tę literaturę) życzę jak najwięcej dobrych książek, filmów i gier z gatunku fantasy.

Autorstwo: Bartosz Iwicki

Źródło: MyslPolska.info